



Juliusz Verne

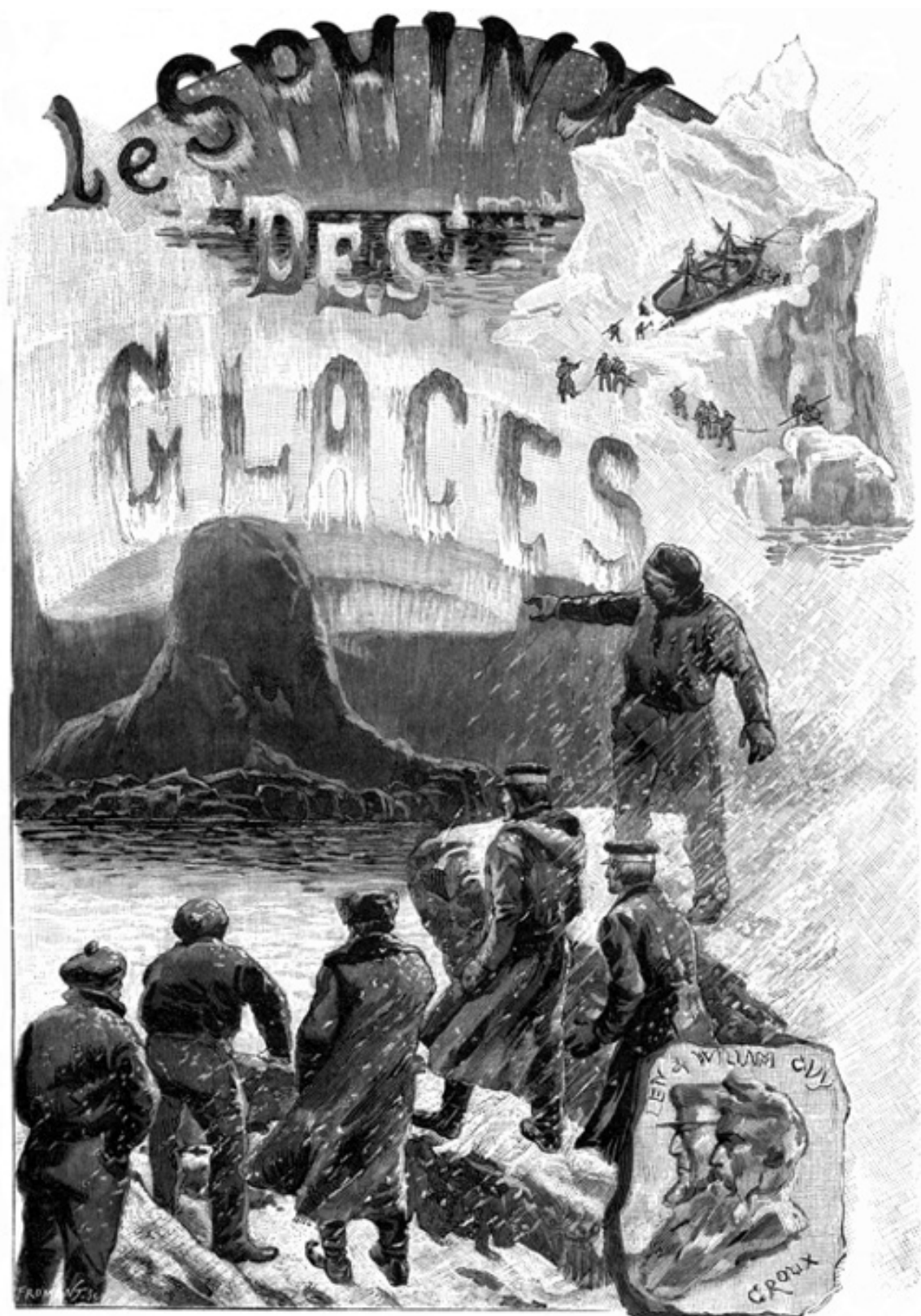
Sfinks lodowy

(Część druga)



ISBN 978-83-64701-30-6 (całość)

ISBN 978-83-64701-32-0 (cz. 2)



Juliusz Verne



SFINKS LODOWY

Pamięci Edgara Poe

Dla moich przyjaciół z Ameryki

Część II

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

Osiemnasta publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Tytuły oryginału francuskiego: *Le Sphinx des glaces*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2015

69 ilustracji, w tym 13 kolorowych i 1 mapka: George Roux
(zaczerpnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja i korekta: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Skład: Andrzej Zydorczak

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

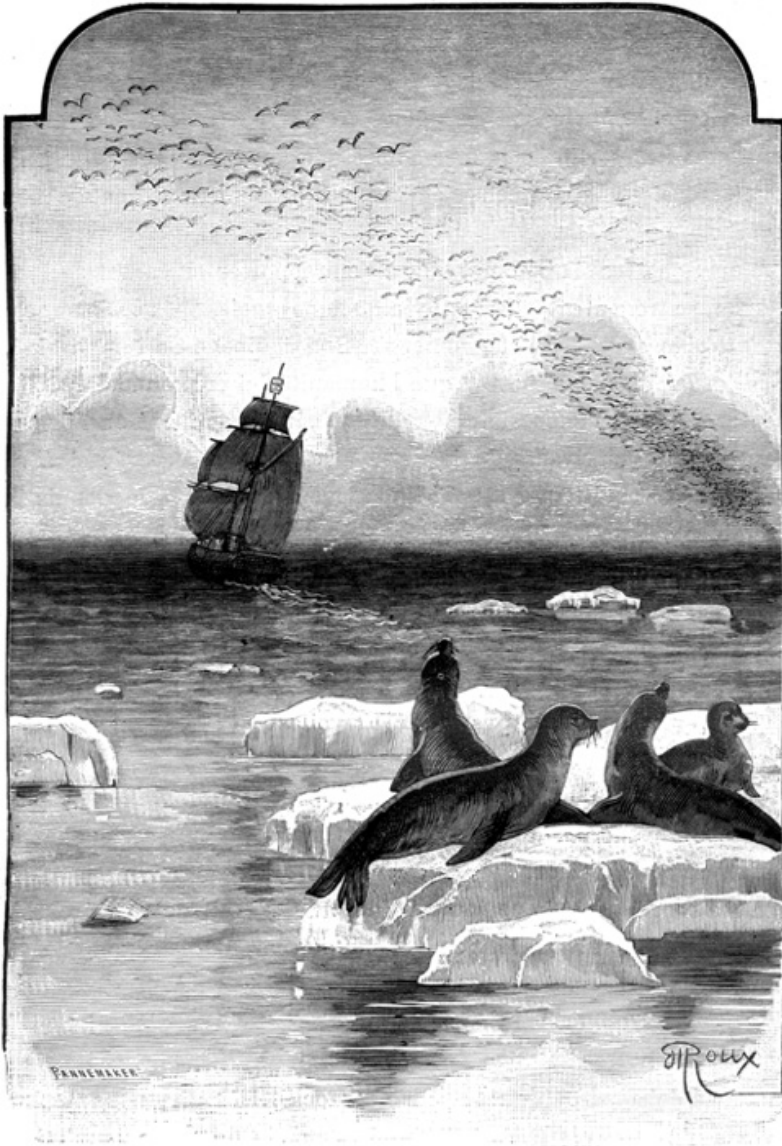
Wydanie I

© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2015

ISBN 978-83-64701-30-6 (całość)
ISBN 978-83-64701-32-0 (część druga)

Część druga



Rozdział I

A Pym...?

Postanowienie kapitana Lena Guya, by opuścić następnego dnia kotwicowiska przy wyspie Tsalal i ponownie wyruszyć na północ, ta tak nieudana wyprawa, to wyrzeczenie się poszukiwań angielskiego szkunera w innej części morza antarktycznego – myśli o wszystkich tych sprawach kołatały się bezładnie w mojej głowie.

Jakże to, więc „Halbrane” miała opuścić sześciu ludzi, o których zapiski znalazły się w notesie Pattersona, a którzy jeszcze kilka miesięcy temu znajdowali się w tych okolicach...? Czy załoga statku nie wypełni do końca zadania, jakie nakazuje humanitaryzm...? Czy nie należało dalej próbować odkryć jakiś kontynent lub wyspę, gdzie może udało się schronić pozostałym przy życiu rozbitkom z „Jane” po opuszczeniu wyspy Tsalal, która po trzęsieniu ziemi nie nadawała się do zamieszkania...?

Był przecież dopiero koniec grudnia, dzień po świętach Bożego Narodzenia, zaledwie początek letniej pory roku. Jeszcze dwa długie letnie miesiące pozwalały nam żeglować po tej części rejonu Antarktydy. Mieilibyśmy czas powrócić do koła podbiegunowego przed straszliwą antarktyczną zimą... Tymczasem „Halbrane” szykowała się do obrania kursu na północ...

Tak, takie były raczej przemawiające „za”, ale było też prawdą – co zmuszony byłem przyznać – że „przeciw” opierało się na serii bardzo ważnych argumentów.

Na pierwszym miejscu był ten, że do tej pory „Halbrane” nie żeglowała na chybił trafił. Podążała drogą wskazaną przez Arthura Pyma, kierowała się do jasno zdefiniowanego punktu, czyli do wyspy Tsalal. Biedny Patterson twierdził, że z tej wyspy, której współrzędne były znane, miał zabrać Williama Guya i pięciu marynarzy, którzy zdołali się wydostać z zasadzki w Klock-Klock. A przecież nie znaleźliśmy ich na Tsalal, nawet nikogo z populacji krajowców, unicestwionej w niewiadomo jakiej katastrofie, której daty nie potrafiliśmy określić. Czy zdążyli uciec przed wspomnianą katastrofą, która nastąpiła niespodziewanie dopiero po odłączeniu się Pattersona, to znaczy jakieś siedem czy osiem miesięcy temu...?

W każdym razie ta ważna kwestia sprowadzała się do bardzo prostej alternatywy:

Albo ludzie z „Jane” zginęli i „Halbrane” bezzwłocznie musiała opuścić te rejony, albo oni przeżyli i wówczas absolutnie nie należało zaprzestać poszukiwań.

Zatem, gdybyśmy trzymali się drugiej wersji, co należało zrobić, jeśli nie przeszukać, wyspa po wyspie, archipelag położony na zachodzie, wspomniany w opowieści Pyma, który trzęsienie ziemi może oszczędziło...? Poza tym, w braku tej grupy wysp, czy zbiegowie z wyspy Tsalal nie mogli się skierować w inną stronę Antarktydy...? Czy na tych wodach wolnych od lodów nie istniało dużo innych archipelagów, które mijają łódź Arthura Pyma i Metysa, kiedy płynęli... nie wiadomo dokąd...?

Było też prawdą, że jeżeli ich łódka została zaciągnięta poza osiemdziesiąty czwarty równoleżnik, gdzie mogliby wylądować, jeżeli żadna ziemia, ani ląd stały, ani wysepka, nie wynurzała się z tej olbrzymiej płynnej równiny...? Co więcej, nie mogę powstrzymać się od powtórzenia, że koniec opowieści zawiera tylko same dziwaczności, nieprawdopodobieństwa, pogmatwania zrodzone w jakiejś chorej mózgowicy... Ach! Jakże teraz przydałby się nam Dirk Peters, gdyby kapitan Len Guy miał tyle szczęścia i odszukał jego kryjówkę podczas swej bytności w Illinois i sprowadził go na pokład „Halbrane”...!

Powracając zatem do przedstawionego wcześniej dylematu: w przypadku gdybyśmy zdecydowali się kontynuować poszukiwania, ku jakiemu punktowi tych tajemniczych regionów musiałby się skierować nasz szkuner...? Czy wszystko nie sprowadziłoby się do, że tak powiem, obrania przypadkowego kursu...?

Poza tym była jeszcze inna trudność. Czy załoga „Halbrane”, mogąc spokojnie powrócić na wody amerykańskie lub afrykańskie, zgodziłaby się podjąć ryzyko żeglugi w nieznanne, zagłębić się w rejony położone bliżej bieguna, obawiając się zderzenia z jakimś straszliwym, niemożliwym do pokonania masywem lodowym...?

Istotnie, jeszcze kilka tygodni i powróci antarktyczna zima, z całą swoją zmiennością, dużo gorszą pogodą i niskimi temperaturami. To morze, obecnie otwarte, zupełnie zamarznie i nie będzie się nadawało do żeglugi. Oznaczałoby to więc uwięzienie w lodach na jakieś sześć do ośmiu miesięcy, nawet bez żadnej gwarancji znalezienia się przy jakimś lądzie. Czy taka perspektywa nie wystraszyłaby nawet najodważniejszych marynarzy? Czy przełożeni mieli prawo ryzykować życiem ludzi z załogi przy znikomej nadziei odnalezienia rozbitków z „Jane”, których nie spotkaliśmy na wyspie Tsalal...?

Zapewne takie myśli kłębiły się od wczorajszego dnia w umyśle kapitana Lena Guya. Następnie, ze złamanym sercem, nie mając już żadnej nadziei spotkania swego brata i jego ludzi, głosem drżącym ze wzruszenia, wydał rozkaz:

– Jutro odpływamy o pierwszym blasku dnia!

Według mnie musiał zgromadzić w sobie tyle moralnej energii, by zawrócić z drogi, ile jej wykazywał, posuwając się do przodu. Ale decyzja została podjęta, a on starał się stłumić w sobie niewysłowny ból, jaki mu sprawiło niepowodzenie wyprawy.

Jeśli chodzi o mnie, to przyznaję, że byłem głęboko rozczarowany i nikt nie był bardziej zmartwiony, że nasza wyprawa kończyła się w takich przykrych okolicznościach. Po tym, jak z wielką pasją związałem się z przygodami „Jane”, zupełnie nie chciałem zawieszać poszukiwań tak długo, jak długo możliwe było ich kontynuowanie w rejonie Antarktydy.

Ilu żeglarzy, będąc na naszym miejscu, przejęłoby się rozwiązaniem geograficznego problemu bieguna południowego! Wszak „Halbrane” płynęła poza rejonami, które odwiedziły statki Weddella, ponieważ wyspa Tsalal leżała mniej niż siedem stopni od miejsca, gdzie zbiegają się wszystkie południki. Wydawało się, jakby żadna przeszkoda nie zagradzała jej drogi prowadzącej do najwyższych szerokości geograficznych. Czy dzięki wyjątkowo sprzyjającej porze roku wiatry i prądy nie doprowadzą szkunera do samego krańca ziemskiej osi, od którego oddzielało nas teraz zaledwie czterysta mil...? Gdyby morze nadal było wolne od lodów, byłaby to kwestia zaledwie kilku dni... Gdyby znajdował się tam kontynent, to byłaby sprawa kilku tygodni... Ale naprawdę nikt z nas nie myślał o biegunie południowym i jego zdobyciu, kiedy na „Halbrane” postanowiono stawić czoła niebezpieczeństwu Oceanu Antarktycznego!

Nawet jeśli przyjąć, że kapitan Len Guy chciałby popchnąć dalej swoje badania, to czy otrzymałby poparcie Jema Westa, bosmana i starych członków załogi, czy zdołałby przekonać dwudziestu rekrutów przyjętych na Falklandach, których Hearne, łowca fok, nie przestawał utrzymywać w przekonaniu, że wydarzą się straszne rzeczy...? Nie! Nie, niepodobna było, by kapitan Len Guy mógł zapanować na tych ludzi, stanowiącymi większość załogi, których i tak już zaciągnął na wyspę Tsalal. Na pewno odmówiliby żegluga na południe po tych antarktycznych wodach, i to musiało być jedną z przyczyn, dla których nasz kapitan powziął postanowienie powrotu ku północy, pomimo głębokiego bólu, jakiego doświadczał...

Uważaliśmy więc wszyscy naszą kampanię za zakończoną, więc tym większe było nasze zaskoczenie, gdy usłyszeliśmy nagle te słowa:

– A Pym... biedny Pym...?

Odwrociłem się...

Tym, który wypowiedział te słowa, był Hunt...

Stojąc w bezruchu przy pokładówce, ten dziwny osobnik pożerał wzrokiem horyzont.

Wszyscy na pokładzie szkunera byli tak nieprzyzwyczajeni do głosu Hunta – być może były to pierwsze słowa, jakie wymówił od czasu zaokrętowania się – że z wielkiej ciekawości cała załoga zgromadziła się wokół niego. Czy jego niespodziewana interwencja nie zapowiadała – miałem takie przeczucie – jakiegoś cudownego odkrycia...?

Jem West skinieniem ręki odesłał załogę na dziób statku. Na miejscu pozostali tylko: pierwszy oficer, bosman, żaglomistrz Martin Holt oraz mistrz uszczelniacz Hardie, którzy uważali się za upoważnionych, by z nami pozostać.

– Co powiedziałeś...? – zapytał kapitan Len Guy, zbliżając się do Hunta.

– Powiedziałem: A Pym... biedny Pym...?

– Jak śmiesz przypominać nam nazwisko człowieka, którego obrzydliwe rady pociągnęły mego brata aż do tej wyspy, gdzie została zniszczona „Jane”, gdzie została zamordowana większa część jego załogi, gdzie my nie znaleźliśmy nawet jednego z tych, którzy tu przebywali jeszcze przed siedmioma miesiącami...?

Hunt nie odezwał się ani słowem.

– Odpowiadaj! – krzyknął kapitan Len Guy, który mając zbolełe serce, nie potrafił zapanować nad sobą.

Wahanie Hunta nie wynikało z tego, że nie wiedział, co odpowiedzieć, ale jak się wkrótce dowiedzieliśmy, z powodu pewnej trudności w wyrażaniu myśli. Były one jasno sprecyzowane, chociaż wypowiedział je urywanymi zdaniem, zaledwie łącząc z sobą poszczególne słowa. Poza tym posługiwał się swoim własnym językiem, czasami bardzo obrazowym, a wymowę miał obarconą chrapliwym akcentem Indian z Dzikiego Zachodu.

– Otóż... – zaczął wreszcie – nie wiem, jak powiedzieć o pewnych rzeczach... Język staje kołkiem... proszę mnie zrozumieć... mówiłem o Pymie... o biednym Pymie... czy tak...?

– Zgadza się – potwierdził suchym tonem pierwszy oficer. – Co masz nam do powiedzenia o Arthurze Pymie...?

– Chcę powiedzieć... że nie należy go porzucać...

– Nie porzucać go...?! – zawołałem.

– Nie... nigdy... – mówił dalej Hunt. – Proszę pomyśleć... to byłoby okrutne... zbyt okrutne... Musimy go szukać...

– Szukać go...? – powtórzył kapitan Len Guy.

– Proszę mnie zrozumieć... dlatego wsiadłem na pokład „Halbrane”... tak... czy nie, by odszukać... biednego Pyma...

– Gdzie on zatem jest, jeśli nie w grobie, na cmentarzu w swoim rodzinnym mieście? – zapytałem.

– Nie... on jest tam, gdzie pozostał... sam... sam jeden... – odparł Hunt, wskazując ręką na południe.

– Już jedenaście razy od tego czasu słońce wzniosło się nad tym horyzontem!

W ten sposób Hunt chciał wskazać na antarktyczne rejony, to było oczywiste... Ale co miał na myśli?

– Czy ty nie wiesz, że Arthur Pym już nie żyje...? – powiedział kapitan Len Guy.

– Martwy...! – zawołał Hunt, podkreślając to słowo wyrazistym gestem. – Nie...! Posłuchaj mnie... wiem wszystko... proszę mnie zrozumieć... on nie umarł...

– Czekaj, Hunt – powiedziałem. – Przypomnij sobie... Czy w ostatnim rozdziale o przygodach Arthura Pyma Edgar Poe nie mówi, że jego koniec był nagły i opłakany...?

Było prawdą, że amerykański poeta nie wskazał, w jaki sposób zakończył się żywot tego nadzwyczajnego człowieka, i z naciskiem podkreślałem, że cały czas wydawało mi się to dość podejrzane! Czy tajemnica tej śmierci miała zostać w końcu odkryta, skoro, jeśli mieliśmy uwierzyć Huntowi, Arthur Pym nigdy nie powrócił ze strefy antarktycznej...?

– Wytłumacz się, Hunt! – rozkazał kapitan Len Guy, który podzielał moje zaskoczenie. – Pomyśl... nie spiesz się... Powiedz wyraźnie to, co masz do powiedzenia!

Podczas gdy Hunt pocierał dłonią czoło jak ktoś, kto szuka dalekich wspomnień, przekazałem kapitanowi pewną obserwację...

– Jest coś dziwnego w zachowaniu tego człowieka, i jeśli nie zwariował...

Na te słowa bosman pokiwał głową, ponieważ w jego mniemaniu Hunt nie był przy zdrowych zmysłach. Hunt rozumiał gest bosmana i zawołał ostrym głosem:

– Nie... nie zwariowałem...! Wariaci tam... na preii... poważa się ich, chociaż im się nie wierzy... ale mnie... mnie trzeba wierzyć... Nie...! Pym nie umarł...!

– Edgar Poe zapewnia, że tak się stało – odparłem.

– Tak... wiem... Edgar Poe... z Baltimore... ale on nigdy nie widział biednego Pyma... nigdy...

– Jak to?! – zawołał Len Guy. – Ci dwaj ludzie się nie znali...?

– Nie!

– Więc to nie Arthur Pym opowiedział swe przygody Edgarowi Poemu?

– Nie, kapitanie, nie! – odpowiedział Hunt. – Tamten... w Baltimore... miał tylko notatki zapisane przez Pyma od dnia, kiedy schował się na pokładzie „Grampus”... pisane do ostatniej godziny... do ostatniej... chciej mnie zrozumieć... zrozum mnie...!

Widocznie biedny Hunt obawiał się, że nie będzie zrozumiany, więc raz po raz powtarzał ostatnie słowa. Zresztą – nie mogę temu zaprzeczyć – jego stwierdzenia wydawały się niemożliwe do przyjęcia. Więc według niego Arthur Pym nigdy nie skontaktował się z Edgarem Poem...? Amerykański pisarz zaznajomił się tylko z notatkami redagowanymi dzień po dniu przez cały czas trwania tej nieprawdopodobnej podróży...?

– Kto zatem przywiózł jego dziennik...? – zapytał kapitan Len Guy, chwytając Hunta za rękę.

– Towarzysz Pyma... ten, który go kochał jak własnego syna... biedny Pym... Metys Dirk Peters... który sam powrócił z tamtej krainy...

– Metys Dirk Peters...?! – zawołałem.

– Tak.

– Sam...?

– Sam.

– I Arthur Pym byłby...?

– Tam! – odparł Hunt silnym głosem, pochylając się ku południowym regionom, na które zawsze kierowało się jego spojrzenie.

Czy takie oświadczenie mogło przewyciężyć nasze niedowierzanie? Oczywiście, że nie! Martin Holt trącił łokciem bosmana i obaj z politowaniem spojrzeli na Hunta, podczas gdy Jem West nie spuszczał z niego oka, nie okazując swoich odczuć. Co do kapitana Lena Guya, to dał mi znak, że nie należy brać na serio tego, co twierdzi ów nieszczęśnik, którego umysł już od dawna był mocno rozchwiany i zmałowany.

A jednak, gdy uważnie spojrzałem na Hunta, zaskoczyło mnie bijące z jego oczu jakieś promieniowanie prawdy.

Wówczas skupiłem się i zacząłem wypytywać Hunta, zadając mu pytania i precyzyjne, i podchwytliwe, na które próbował odpowiadać kolejnymi kategoriowymi potwierdzeniami, nigdy na żadne nie zaprzeczając.

– Posłuchaj... – rzekłem – czy po tym, jak razem z Dirkiem Petersem został zabrany z wraku „Grampusa”, Arthur Pym przebywał na pokładzie „Jane” aż do dopłynięcia do wyspy Tsalal...?

– Tak!

– Czy podczas wizyty kapitana Williama Guya we wsi Klock-Klock Pym oddzielił się od swych towarzyszy w tym samym czasie co Metys i jeden z marynarzy?

– Tak... – odparł Hunt – marynarz Allen... który prawie natychmiast uduślił się pod kamieniami...

– Potem dwaj pozostali patrzyli z wysokiego wzgórza na atak krajowców i zniszczenie szkunera...?

– Tak...

– Następnie, po upływie pewnego czasu, obaj opuścili wyspę na ukradzonej łodzi, której krajowcy nie zdołali im zabrać...?

– Tak...

– I dwadzieścia dni później, przybywszy przed zasłonę oparów, obaj zostali uniesieni w otchłań wodospadu...?

Tym razem Hunt nie dał krótkiej, potwierdzającej odpowiedzi, lecz jękając się, wymawiał urywane, niezrozumiałe słowa... Wydawało się, że starał się rozniecić w swej pamięci już prawie wygaszony żar... W końcu popatrzył na mnie i potrząsnął głową.

– Nie... nie obaj – odpowiedział. – Proszę mnie zrozumieć... Dirk Peters nigdy mi o tym... nie mówił...

– Dirk Peters...? – zapytał żywo kapitan Len Guy. – Poznałeś Dirka Petersa...?

– Tak...

– Gdzie...?

– W Vandalii, w stanie Illinois.

– Czy to od niego otrzymałeś wszystkie informacje o owej podróży...?

– Od niego...

– I powrócił sam... sam... stamtąd... pozostawiwszy Arthura Pyma...?

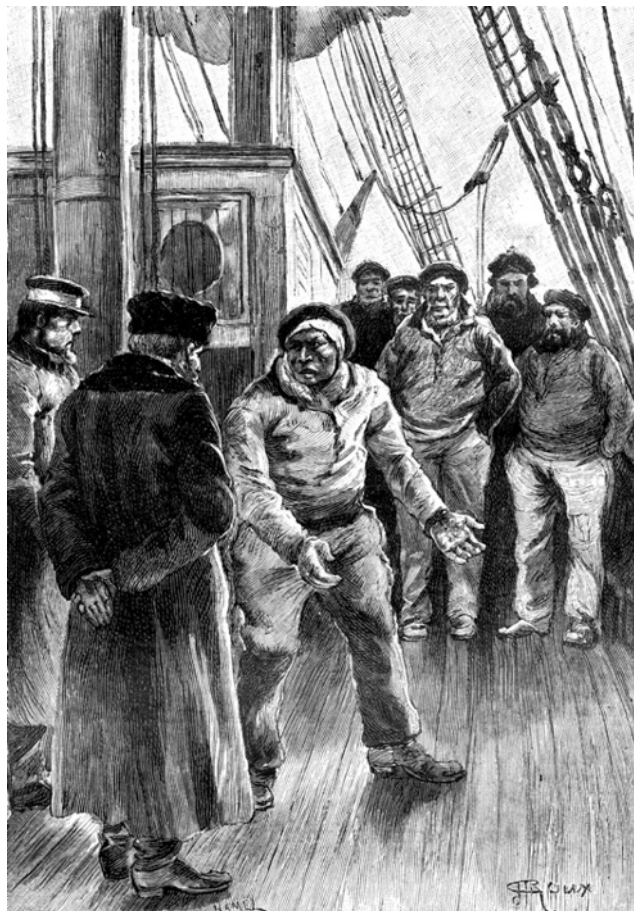
– Sam.

– Opowiedz nam o tym... Mówże! – zawołałem.

To była prawda: wrzałem z niecierpliwości! Jak to?! Hunt znał Dirka Petersa i dzięki temu wiedział o rzeczach, o których myślałem, że na zawsze pozostaną tajemnicą...! On znał rozwiązanie tych nadzwyczajnych przygód...!

Wówczas Hunt zaczął swoją relację, cały czas mówiąc urywanymi zdaniem.

– Tak... tam... zasłona z oparów... mówił mi często Peters... proszę mnie zrozumieć... Obaj, Arthur Pym i on, płynęli w tsalalskiej łódce... Potem... wielka kra... natarła na nich ogromna kra... Po zderzeniu Dirk Peters wpadł do morza... Zdołał się ucześcić kry... wdrapać się na nią... proszę mnie zrozumieć... widział łódkę odpływającą z prądem... daleko... bardzo daleko... zbyt daleko...! Na próżno Pym usiłował dołączyć do swego towarzysza... nie potrafił... łódka opływała... odpłynęła...! A Pym... biedny i kochany Pym został uniesiony... To on nie powrócił... Jest tam... ciągle jeszcze tam...!



Doprawdy, gdyby ten człowiek był Dirkiem Petersem we własnej osobie, nie wypowiedziałby bardziej emocjonalnie, mocniej i bardziej serdecznie „biedny i kochany Pym”!

Tymczasem poznaliśmy nowy fakt – dlaczego mieliśmy w niego wątpić? – więc Arthur Pym i Metys rozdzielili się przed zasłoną z oparów...?

Jeżeli tak było, jeżeli Arthur Pym nadal posuwał się w kierunku najwyższych szerokości geograficznych, to jak jego towarzysz Dirk Peters zdołał powrócić na północ... powrócić poza masyw lodowy... powrócić do Ameryki, gdzie przywiózł notatki, które przedstawił Edgarowi Poemu...?

Postawiliśmy Huntowi kolejne, bardzo szczegółowe pytania, a on na wszystkie odpowiedział, można to tak określić, stosownie do pytania, zgodnie z tym, co wiele razy opowiedział mu Metys.

Według tego, co nam oznajmił, Dirk Peters miał w kieszeni notes Arthura Pyma w chwili, gdy kurczowo uczeplił się kry, i ten ocalony dziennik udostępnił amerykańskiemu pisarzowi.

– Proszę mnie zrozumieć... – zapewniał Hunt – powtarzam tylko wszystko, czego dowiedziałem się od Dirka Petersa... Gdy prąd unosił go na lodowcu, krzychał ze wszystkich sił... Pym, biedny Pym już zniknął w zasłonie oparów... Jeśli chodzi o Metysa, to posilając się surowymi rybami, które udało mu się złapać, został uniesiony przez przeciwny prąd ponownie do brzegów wyspy Tsalal, na którą wysiadł, umierając z głodu...

– Na wyspę Tsalal...?! – wykrzyknął kapitan Len Guy. – A ile czasu upłynęło od czasu, jak ją opuścił...?

– Trzy tygodnie... tak... najwyżej trzy tygodnie... jak mnie zapewniał Dirk Peters...